

Kronika

tygodniowa

Zdarzeniem dnia było w ubiegłym tygodniu w Krakowie spadnięcie pierwszego śniegu, o czym dowiedzieliśmy się z *Kuryera*, który wyraźnie zaznaczył, że widziało go zaledwie kilkanaście osób, wrażeńych wczesnym rankiem pod dach rodzinny po pracowicie spędzonej nocy. Ogół mieszkańców musiał wierzyć „na słowo”, że tak było, a nie inaczej, gdy bowiem Krakowianie, nie lubiący obecnie weseleń wstawać, zjawili się na ulicach, już go nie było, ale nie z tego powodu, jakoby Zakład czyszczenia miasta tak się przędko z nim uwinął, lecz z racji, iż było go tak mało, że mogli go widzieć tylko wtajemniczeni. Mamy zresztą dopiero październik, na opady śniegowe dosyć więc jeszcze czasu, z powodu braku węgla i ich drożyzny byłoby nawet wskazaniem, aby się bez nich zupełnie obešlo.

U nas spadł śnieg, na Węgrzech kilka dni przedtem wylądował pod Szoproniem samolot, którym przybył król Karol wraz z swą małżonką, by się upomnieć o koronę św. Szczepana, o którą, zdaje się, więcej chodzi jej, niż jemu.

Poprzednia jego wyprawa w tym samym celu w czasie świąt Wielkanocnych zrobiła, jak wiadomo, zupełne fiasco, pani Zyta, nie dowierając swemu małżonkowi, wybrała się z nim razem, lecz i jej interwencja na nic się nie zdała. Tak, jak krakowski śnieg zniknął bardzo rychło z widowni, i państwo Karolowie królowali na Węgrzech bardzo krótko. Jego Królowa Maść miała natyle czasu, iż zamianował swój gabinet, który jednak już na drugi dzień znalazł się w „ulcu”, a para królewska rozpoczęła rekolekcje w klasztorze Benedyktynów nad jeziorem Biotnem, gdzie czeka na decyzję, w którą stronę udać się jej wypadnie. Gościna Anglia zaprasza ją do przeniesienia się do któregoś z jej zamorskich posiadłości, do czego jednak państwo Karolowie bardzo się nie kwapią, przypominając sobie z historii, jak serdecznie podejmowali Anglię cesarza Napoleona na wyspie św. Heleny.

Swoją drogą Karolowi należy się pewna kara, ale nie za to, iż upomina się o oddanie mu tego, co mu się bądź co bądź słusznie należy, gdyż jest królem węgierskim, lecz z powodu, że daje się zbyt łatwo powodować, czyli mówiąc popularnie „wodzić za nos”, swej lepszej połowie, będącej w danym wypadku raczej gorzej, namawia go bowiem do czegoś, a on, posłuszny, robi, co żona każe, choć nie on jej, ale ona jemu posłuszeństwo ślubowała.

Wyprawa Karola na Węgry mogła mieć dla Europy bardzo fatalne następstwa i wywrócić do góry nogami cały porządek społeczny, i tak wiele do życzenia zostawiający. Czecho-Słowacy i Jugosławia zabierały się już nawet do wojny z Węgrami, spodziewając się, że przy ogniu, na którym przygotowuje się gulasz węgierski, uda się może napaść i własną plecień. Pozatem król Karol na tronie węgierskim jest dla nich powodem ogromnego strachu, gdyż tak jeden, jak i drudzy, nie wierzą w trwałość swego państwa, zlepiętego przez Koalicję w sposób sztuczny, bez uwzględnienia żądań ludów, które się dostały pod obcą, dla siebie nie sympatyczną, panowanie. Na to także liczył Karol, przedsięwzięcie wyprawę na Węgry, ale jak się pokazuje, przerechnował się i to w sposób bardzo brzydki. Mimo to nie stracił jeszcze nadziei, że co się dotąd nie odswala, wreszcie raz się może powieścić, choćby tylko ze względu na przysłowie, iż „do trzeciego razu sztuka”. W rozmowie z jednym z dziennikarzy, jaką miał bezpośrednio przed wyjazdem ze Szwajcaryi, oświadczył, że nie wątpi w swój powrót na Węgry i to pod opieką Ligi Narodów, gdy lud węgierski wypowie swoje zdanie. Ostatnie wydarzenia wskazywałyby jednak na to, że zbyt optymistycznie ocenia sytuację, naród węgierski bowiem, choć monarchistycznie usposobiony, radby mieć raz już spokój i decyduje się na obecny porządek rzeczy, widząc jasno, że wewnętrzne zatargi to tylko woda na miętę sąsiadów, niezbyt życzliwie dla nich usposobionych i czekających tylko sposobności, by, występując rzekomo w obronie zagrożonej równowagi politycznej Europy środkowej, uszczknąć cośkolwiek i dla siebie. Czesi nie przestali śnić o korytarzu przez Węgry, mającym ich połączyć z Jugosławią i gotowi każdej chwili pospieszyć na wezwanie, wszystko jedno im, czyje, byle się tylko raz tam już usadowić, wiadomo zaś, że gdzie Czech raz wlezie, nie łatwe go potem stamtąd wyprowadzić.

Bez większego wrażenia przeszła zatem niefortanna Karolkowa peregrynacja na Węgry, oryginalna o tyle, że odbył ją drogą powietrzną, spodziewając się, iż Węgrzy, ujrawszy go między sobą, powiedzą z radością: „Spadł nam jak z nieba!...” Tak się nie stało. Większość była zdania, że „spadł” zupełnie niepotrzebnie i nie na czas, czyli, że był zupełnie tak tam potrzebny, jak zeszłotygodniowy śnieg w Krakowie.

Nas wewnętrzne sprawy węgierskie zbyt mało obchodzą, tymczasem Węgrzy, jako narodowi, związanemu z nami wielu wspólnymi interesami, aby im się działo jak najlepiej i dlatego radzimy im, aby baczną na to zwrócili uwagę, by przypadkiem nie dostali króla w spódnicę, gdzie bowiem baba rządzi, tam nie można się spodziewać nic dobrego. Gdyby zaś Karol dorwał się w samej rzeczy tron, byłby tylko malowanym królem, ster zaś rządów ujęłaby w swe energiczne ręce pani Karolowa, która już nieraz dała świadectwo, że małżonka swego awata za porządku sfałdował, dającemu sobie kierować i bynajmniej nie narzekającemu na to. Ale jak ongi Adam, dzięki Ewie, utracił dzierżawę raju, tak i Karol, dzięki Zycie, gotów się pozbyć raz na zawsze korony węgierskiej. A na to się zanosi, gdyż Koalicja żąda detronizacji Habsburgów, a on podobno, jak donoszą ostatnie telegramy, przyjął już podyktowane mu przez rząd węgierski na życzenie sprzymierzonych warunki.

Dla polityków nauka z tego, aby nie dawali się powodować zbyt łatwo kapturcom niewiast, choćby to były ich rodzone siostry, które jak doświadczenie uczy, coraz energiczniej zabierają się do spraw ogólnych, zaniedbując tem samem domowe. A weszło to jakoś w modę, że podczas podróży politycznych towarzyszą także magnifiki swym małżonkom. Pani Paderewska nie opuszczała swego męża w podobnych wyprawach, rumuński premier, Take Jonescu podróżował po Europie z swą lepszą połową i z nią gościł w Warszawie, Weronika chciała koniecznie towarzyszyć kronikarzowi, gdy tenże wybierał się do Rygi. W myśl przysłowia „gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła”, byłaby czasem nawet i pożądaną tu i ówdzie obecność niewiast i ich osobista interwencja, lepiej jednak, niechaj nie zabierają się do spraw, do których nie są stworzone.

Ważniejszą dla nas od Karolkowej wyprawy po złote runo jest sprawa wileńszczyzny, mającej lada dzień wejść na porządek dzienny obrad Ligi Narodów, oraz byłej Galicyi wschodniej. Pierwsza z nich skończy się dla nas prawdopodobnie pomyślnie i Wilno zostanie przy Polsce, gdyż dyplomaci koalicyjni, nauczani doświadczeniem Chardigny'ego nie będą się chcieli chyba narazić na to, aby wileńskie kobiety wyraziły wobec nich swą wolę w ten sposób, jak przekonywały tamtego, iż gotowe są polskość Wilna bronić do upadłego. Trudniejsze będzie rozwiązanie kwestyi tak zwanej zachodnio-ukraińskiej, nie wiemy bowiem na pewno, z jakiego podręcznika czerpał swe wiadomości historyczne i geograficzne o tym kraju Lloyd George, który, jak to zresztą zawsze czyni, będzie się starał zachować dla siebie ostatnie słowo. Dyktando nad tą sprawą jest właściwie zbyt trudną, załatwił ją bowiem definitywnie traktat zawarty w Rydze między obu interesowanymi stronami, to jest Polską i tym krajem, który słusznie może sobie rościć prawa do właściwej Ukrainy. I Lloyd George, gdyby chciał być konsekwentnym powinien siedzieć cicho i nie wtrącać swych trzech groszy, by przypadkiem ktoś nie pobit go jego własną bronią. Wszak nikt inny, tylko on, uznawał jako jeden z momentów, stwierdzających niemieckość Górnego Śląska, zasiedzenie się tam Niemców od lat kilkunastu. Jesli więc Lloyd George był zdania, że była Galicya wschodnia jest ukraińską, należałoby mu zaraz przypomnieć, o jak to Polacy żyją i pracują dla zachodnio-europejskiej kultury na tym obszarze, od lat pięćdziesiąt wchodzącym w skład ziem polskich. Pan Petruszewicz jest wprawdzie innego zdania, ale z politykami tego pokroju, co on, nie liczą się poważnie nawet sami Ukraińcy, oczywiście nie galicyjscy, wychodowani sztucznie w austriacko-niemieckiej cieleplarni. Rusini z nad Dniepru bardzo dwuznacznie uśmiechają się na samą wzmiankę o „Ukraińcach z nad Poltwy” i bynajmniej nie życzą sobie ich współpracy przy przewracaniu do góry nogami porządku społecznego, bo oni tylko to potrafią.

W jednej z poprzednich kronik zaznaczyliśmy już, że niektórym z naszych sprzymierzeńców zależy na tem, by Polska miała swą „piętę Achillesową” i że dlatego sprawie ukraińskiej nie pozwolą zejść z porządku dziennego, owszem rodmuchują ją coraz bardziej i to w myśl starych praktyk Wiednia i Berlina. Małopolscy Rusini wiedzą o tem dobrze i dlatego z dnia na dzień rośnie coraz bardziej ich bunt i wzmacnia się apetyt.

Według opinii koalicyjnej wschodnia część byłej Galicyi, zostaje jedynie pod militarną okupacją Polski

aż do ostatecznego rozstrzygnięcia o jej losach i to właśnie jest powodem, że wschodnio-galicyjscy Rusini nie tracą nadziei, że uda się im utworzyć samodzielne państwo. Aspiracje ich popiera silnie Anglia, a „małej Koalicji” Czechy, które w ten sposób spodziewają się uzyskać korytarz, łączący ich z Rosją sowiecką.

W niektórych sferach naszych polityków wyłonił się projekt rozwiązania w ten sposób sprawy wschodniej Małopolski, by nadać jej pełną autonomię, pozostawiając ją o tyle pod zwierzchnictwem Polski, iż posiadałaby ona tam swego przedstawiciela w osobie podsekretarza stanu. Byłoby to zatem wyodrębnienie najniebezpieczniejszej tej części kraju i wydanie jej na pastwę zachodnio-ukraińskim politykom, pozostającym stale w ścisłym kontakcie z Wiedniem i Berlinem.

Przeciw podobnemu rozstrzygnięciu, które równałoby się dobrowolnemu zaprzepaszczeniu naszych praw do tej ziemi protestują też z całą energią tamtejsze polskie społeczeństwo, dając wyraz swej woli w licznych wiecach, na których wyrażale oświadcza się za ścisłym zaspokojeniem z resztą Polski, co już zostało zapoczątkowane przez wprowadzenie tamte ustroju wojewódzkiego, którego Rusini oczywiście nie uznają i energicznie go zwalczają. Zamach Pádaka pozostał z tem w przyczynowym związku, mając stanowić dowód protestu przeciw polskiemu zarządzeniom administracyjnym, zdaniem Ukraińców bezprawnym. Tajne organizacje ukraińskie, teraz dopiero wychodzące na jaw, świadczą o duchu panującym wśród galicyjskich ukraińców. Nasze władze dotąd o nich albo nie wiedziały, albo też sobie lekceważyły i trzeba było dopiero wystąpienia Pádaka, by otworzyć im oczy na grożące z tej strony niebezpieczeństwo, o którym wiedzieli wszyscy, tylko nie ci, którzy na nie zwrócić powinni byli już dawno swą uwagę i zdusić je w zarodku.

Lwów przeciwko wyodrębnieniu wschodniej Małopolski oświadczył się kategorycznie, przysięgając niechcący bronić do ostatniej kropli krwi jej polskość, a tego rodzaju objawa woli ludu lekceważyć nam nie wolno.

Ukraińcy, nauczani dotychczasową naszą prawdziwie baranią cierpliwością, podnoszą też coraz jaśniejszą głowę, ogłaszając, że w obronie swych praw chwycą się terronu, który przecież stasują ustawicznie wobec polskiej ludności. Zachęca ich do tego bezkarność, z jaką się dotąd zawsze spotykali, nie tracą zatem nadziei, że w dalszym ciągu będzie tak samo. Przypominają jednak o tem, że co innego czasy byłych rządów austriackich, a co innego obecne, kiedy mamy pełne prawo upomnienia się jawnie o to, co się nam słusznie należy, bez potrzeby oglądania się na Wiedeń, jak to było wówczas. Ofiarą ich terronu padło wówczas życie namiestnika Potockiego, a choć to był przedstawiciel i zastępca wiedeńskiego rządu, ten sam Wiedeń dopomógł Siczyskiemu do swobodnego wyjazdu za granicę.

Jeśli zachodni Ukraińcy sądzą, że coś podobnego powtórzy się i obecnie, grubo się mylą, gdyż polskie społeczeństwo musi się raz zdecydować na stanowczy krok, stojąc w obronie swych praw, gwałconych dotąd bezkarnie przez tych, którzy ustawicznie krzyczą wobec świata, że my ich krzywdzimy.

Mimowoli przypomina się owa stara bajka o chlepie, który w ogrodzie swym znalazł zimową porą zmarzniętego węża i litując się nad jego losem, zanosił go do izby, umieścił na przyplecku i póty nań chuchał i dmuchał, póki go do życia znów nie przyprowadził. Niewdzięczny gad, przyszedłszy do siebie, wypętył się i chciał się rzucać na swego dobrodzieja, co chłopca doprowadziło do takiej wściekłości, iż pochwycił, jak powiada poeta, „dubasa” i zadał nim cios śmiertelny zdradliwej bestyi.

Wyhodowaliśmy sobie węża, on godzi obecnie nas, w własnej obronie musimy chwycić się nawet ostatecznych środków, polityka ustępstw w dalszym ciągu do celu nas nie doprowadzi i stać się może dla nas powodem katastrofy.

